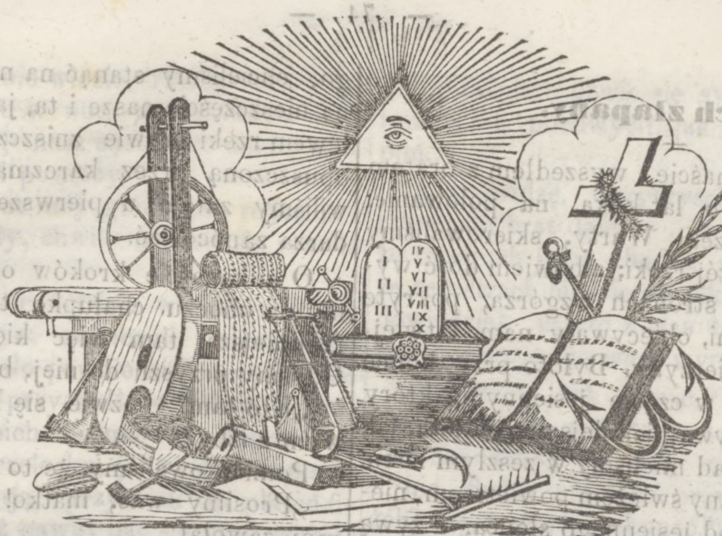
ROK DRUGI.

№ 10.

Warszawa

Dnia 24 Lutego (8 Marca) 1857.

Niedziela 2ga POSTU.



KANTOR GŁÓWNY W DRUKARNI J. UNGER przy ulicy Krakowskie Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80 półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Dla żadnego w świecie powodu, dla żadnego ku komukolwiek przywiązania, złego dopuszczać się nie należy; jeśli jednak tego dobro czyje wymaga, dobry uczynek wstrzymać, lub na lepszy zamienić można. Tym bowiem sposobem dobry uczynek nie psuje się, lecz się owszem ulepsza (O naśladowaniu Chr. Ks. 1 Rozd. XV).

Siedm słów Zbawiciela na krzyżu.

2gie Słowo: (do Maryi) *Niewiasto! oto Syn twój* · (do Śgo Jana) — *Synu! oto Matka twoja.* (Ew. S. Jana. R. 19 w 26 i 27.)

—

Słońce tonie we mgle krwawéj,
Tłumy ludu brną w ciemnocie,
Głos dalekiéj cichnie wrzawy,
Pusto, głucho na Golgocie.

Tylko w drżących niewiast gronie
Stoi Marja łzami zlana,
I ten uczeń, co na łonie
Dźwignął senną głowę Pana.

„Miły Jezu! — matka rzecze
Ciężką zdjęta wskróś żałobą,
„Tkwią w méj piersi ostre miecze,
„Dozwól razem umrzeć z Tobą!"

Spojrzał z krzyża Pan ku ziemi,
I za mętnym mgły tumanem
Wraz oczyma wilgotemi
Objął Matkę z miłym Janem.

„*To syn* — rzecze — *twój Niewiasto!*
„*A to matka twoja synu!*"
I na grzeszne spojrzał miasto
Struchlałego pełne gminu.

I pojęła wnet Dziewica
Zbawiciela święte słowo:
„Otom Pańska służebnica"
Z pochyloną rzecze głową.

„Tyś krwi czyste przelał zdroje,
„By odkupić ludzkie winy,
„Ja podzielę trudy twoje,
„O mój Synu! o! jedyny!...

„Tkliwą matką będę światu,
„W każdéj dobie ja poniosę
„Do stóp Twego majestatu
„Łzy grzesznika, niby rosę."

O Maryo! — my sieroty,
Bądź nam w niebie mocną tarczą;
W dnie boleści i tęsknoty
Krzep, gdy siły nam nie starczą.

Bądź nam matką, bądź królową,
O Dziewico nieskalana,
I czeladkę Chrystusową
Wiernie prowadź do stóp Pana!

—

Strach złapany.

Lat temu kilkanaście, wyszedłem z bratem starszym odemnie o lat kilka, na polowanie. Mieszkając blisko rzeki Warty, skierowaliśmy swą drogę wzdłuż téj rzeki; albowiem dość wyniosłe po obu jéj stronach wzgórza, pokryte wrzosem i krzakami, obiecywały nam łatwiejsze wyszukanie zwierzyny. Byłoto przy końcu miesiąca września, w czasie jesiennym, który najczęściéj u nas bywa piękniejszym od lata, jak tego świeży przykład mieliśmy w zeszłym roku.

Z początku owiany świeżem powietrzem, niezbyt rozgrzanem od jesiennego słońca, z żywą przyjemnością okrążałem wraz z bratem pola, wzgórza; lecz nie będąc tak dalece zagorzałym myśliwcem, wkrótce znużyłem się ustawicznem krążeniem po okolicy.

Inaczéj się jednak rzecz miała z bratem, który od lat kilkunastu już bawił się fuzyjką, i często dla niéj zapomniał o szkolach, a potem i o pomocy ojcu przy gospodarstwie. Zresztą silniejszej budowy ciała i szczęśliwszy odemnie, bo już miał przytroczone dwa zające do torby, nie czuł wcale znużenia; ze mnie zaś, gdy, jak to mówią, *spudłowałem* do zająca, lub utyskiwałem na utrudzenie, śmiał się swoim zwyczajem. Wiedział on zresztą dobrze o téj mojéj zdatności do myśliwstwa, i wziął mnie widać jedynie dlatego, abym mu pomagał w dźwiganiu zabitéj zwierzyny.

Opuszczając jednakże dalsze okoliczności naszéj wycieczki, przystępuję do rzeczy.

Gdy dzień zbliżał się ku schyłkowi, i gdy torby nasze już dostatecznie obciążone były zwierzyną, ale zawsze tylko ze strzałów brata, gdy i zapasy wziętéj naprędce żywności już się wyczerpały, wtedy pomyślał i on o powrocie do domu. Że zaś miejsce zamieszkania naszego oddalone od nas było o dobre dwie mile, więc ta okoliczność i znużenie nasze nie dozwoliły nam zdążyć na nocleg do domu; a to tém bardziéj, że znajdując się po drugiéj stronie rzeki, musielibyśmy tak samo łódką, jak rano, przewieść się napowrót wśród ciemnéj nocy, gdyż most z przyczyny niedawnego wylewu Warty zupełnie był zniszczonym. Umyśliliśmy zatém przenocować w najbliższéj wiosce, któréj nędzne chaty, nie opodal od lasu leżące, tu i owdzie zdala już nad brzegiem rzeki czerniały. Nie znając tam nikogo, chcieliśmy stanąć na noc w karczmie, lecz na nieszczęście nasze i ta, jako nadbrzeżna, wylewem rzeki prawie zniszczoną, a tém samem opuszczoną przez karczmarza była. Postanowiliśmy zatém u pierwszego lepszego gospodarza zanocować.

O kilkanaście kroków ode drogi spostrzegamy na uboczu chałupkę trochę od innych porządniejszą; tam więc kierujemy swe kroki. Gdyśmy przyszli do niej, brat mój zakołatał.

„Kto tam?“ ozwie się ktoś głosem chrapliwym z izby.

Pomiarkowaliśmy, że to stara kobieta.

„Prosimy was, matko! otwórzcie nam, brat mój zawołał.

„A cóż wy za jedni?“

„Wracamy właśnie z polowania, bądźcie tak dobrzy przyjąć nas na noc.“

„Ale czy to pewno panowie myśliwi?“

„Możecie sobie zobaczyć przez okno, kiedy nie wierzycie, a pokażemy wam torby nasze z zającami,“ rzekł brat z uśmiechem.

I w saméj rzeczy kobieta popatrzyła przez okno, a sprawdziwszy nasze przedstawienie się przy blasku księżyca, kiedyniekiedy zza chmur wyglądającego, poszła zaporę u drzwi odsunąć.

Zdziwiła nas nieco ta ostrożność. Wszedłszy do izby, słabo oświetlonéj dogorywającym ogniem na kominie, zastaliśmy starego gospodarza, żonę i syna lat 20 z górą mieć mogącego.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ rzekliśmy społem; a brat dodał: pozwólcie nam przenocować u siebie—noc tak ciemna, a mamy daleko do domu.“

„Z całego serca,“ odpowie gospodyni, ścierając dla nas ławę stojącą przy piecu“—wydaje-cie się panowie poczciwymi ludźmi, i dobrze nacie się panowie poczciwymi ludźmi, i dobrze nawet, że nas więcéj razem nocować będzie; będziemy trochę spokojniejsi.“

„A to czemu?“ zapytaliśmy.

„Ej, ba!—będziecie tu panowie sami mieli strachu, zapowiadam panom.“

„Cóż to wy takiego mówicie?“

„No, poczekajcie panowie, zobaczycie.“

„Ale cóż takiego? Czy tu złodzieje są w tych stronach?

„Ba! właśnie, gdybyto tylko złodzieje!“

„Jeszcze co gorszego? Cóż więc takiego być może?“

„E! bo panowie nie wiecie, rzekła starowina tajemnym tonem; tu w nocy *przeszkadza.* Oto nieboszczyk Marcin, nasz sąsiad, co umarł niedawno, teraz chodzi po nocy.“

Na te słowa brat mój głośno się roześmiał i jako z natury wesoły, chwilę zanosił się prawie od śmiechu.

Biedni ludziska ani myśleli wtenczas o wesołości, owszem jak zobaczyli brata mego śmiejącego się, omało pewnie nie pomyśleli, że to albo nieboszczyk przyszedł do nich w téj postaci, ażeby się z nich naśmiewał, albo też, że djabeł ubrany po strzelecku, jak to go w bajkach czasem przedstawiają, przyszedł im płatać figle; bo zaczynali już nawet bać się prawdziwie, i z pewną trwogą na nas spoglądali.

„Nie bójcie się,“ rzekłem im „wszak widzicie, że on wcale na djabła nie wygląda, a nawet, jeżeli chcecie, może wam zrobić znak krzyża świętego; ale powiedzcie nam, jakeście dobrzy, o jakim to strachu mówicie?“

„Otóż, kiedy tak, to zaraz panom opowiem,“ rzekła uspokojona już kobieta.

„Oddawna mieszkał w téj wiosce gospodarz jeden, co zwał się Marcin, a był on bardzo miłosiernym dla wszystkich ubogich. Jak umarł, temu dwa miesiące, pełno było płaczu wszędzie. Pochowali go pięknie, i każdy dał na mszę za jego duszę. My biedni jesteśmy, nie byliśmy więc w stanie nic dać i nie daliśmy, ale za to dobrze teraz pokutujemy. Mamy tylko kawałek pola i ten ogródek, coście tam może panowie widzieli koło chałupy; ale i tak zawszeby lepiéj było dać cokolwiek na mszę za duszę Marcina, który nam tyle świadczył za życia. Teraz zagniewał się widocznie na nas, bo jak tylko zwieźliśmy zboże z pola, chodzi w nocy do naszéj stodółki, wymłaca nam żyto, i potém rozdaje ubogim.“

Brat był jak rzadko wesoły; cały czas śmiał się tylko, choć to niemało gorszyło gospodarzy, jednakże w końcu zapytał:

„Ale powiedzcież mi, moi drodzy, zkąd wiecie, że to nieboszczyk Marcin wymłaca wam zboże?“

„Zkąd wiemy? Alboż to nie słyszymy go, jak młóci? A potém, wszak on sam do nas strwożonych gadał, i sam nam mówił to, co do panów mówimy.“

„I wy tak zaraz temu uwierzyliście? Poczciwi z was ludzie! A nie mógł to ten wielki drągal pójść przypatrzeć się bliżéj, żeby lepiéj zobaczyć, co to takiego?“

„Właśnie,“ ozwie się synalek, „żeby jeszcze i mnie tak pochwycił, jak zboże? Aha! nie głupim.“

„Jak widzę, wszyscyście głowy potracili,“ rzecze im brat daléj — „co wam się śni takiego, że to strach jakiś chodzi; a jabym się założył, że ten strach nic więcéj, jak złodziej jakiś, co się dowiedział, jacyto z was tchórze, i przychodzi pod nosem zboże wam wymłacać.“

„Łatwoćto tak mówić,“ wtrącił gospodarz, aleć my tu nie sami tylko tchórze, bo i nasz sąsiad Stanisław, jakeśmy mu o tém powiedzieli, nie chciał ani razu przyjść tu spać z nami, żeby się o tém przekonać.“

„Stanisław, wasz sąsiad, nie chciał przyjść spać z wami? — czy chcecie się założyć, że to on sam wymłaca wam zboże?“

„Ale powiadam panom raz jeszcze, że to nie kto inny, tylko nieboszczyk Marcin,“ odparła kobieta, kiwając głową z namysłem.

„Ale powiadam wam raz jeszcze, żeście wszyscy podurzeli; bo kto już raz nieboszczykiem, ten więcéj z grobu nie powstanie, chyba aż na Sądzie ostatecznym. Oto poczekajcie, ja wam złapię owego stracha, tylko sprawiajcie się cicho, i nie przeszkadzajcie mi.“

To powiedziawszy brat mój, nabił fuzyę i poszliśmy oba zasadzić się u węgła chaty; a tymczasem owi ludzie trzęśli się w izbie ze strachu, i mieli już nas za przepadłych. Około jedenastéj godziny patrzymy, przychodzi jakiś człowiek w długiéj, białéj koszuli i wysokiéj papierowéj czapce, wyciąga kilka snopków z sąsieka, kładzie na toku i zaczyna doprawdy młócić. Wtém właśnie, kiedy do nas obrócił się tyłem, podchodzimy pocichu jak można najbliżéj, i brat mój na wiatr wystrzela. Strach przelękniony wrzaśnie przeraźliwie, i pada prawie martwy na wznak. Przypadamy, porywamy jegomościa, nim jeszcze z przelęknienia mógł przyjść do siebie, i prowadzimy do chaty.“ No, macie swojego stracha, rzecze brat, wchodząc do izby, ale on coś tak równie trzęsie się, jak i wy.“

„Ach! to Stanisław!“ zawołała jednogłośnie zabobonna rodzina.

„Czy doprawdy on? — A widzicie; wszakem wam powiedział. I cóż, czy będziecie jeszcze wierzyć w strachy? A ty młody tchórzu! żebyś był przed dwoma tygodniami zrobił coś podobnego, co my dzisiaj, miałbyś teraz całe to zboże, co

ten niegodziwiec wam pokradł. Otóżto korzyść, być tchórzem i zabobonnym. Nieumarłych to bać się trzeba, nie umarłych, ale żywych. Wstydźcie się być tak łatwowiernymi. Wszak zapewne słyszycie nieraz w kościele, że dusza każdego człowieka idzie zaraz po śmierci jego na sąd Boga. Złych tylko żywych ludzi lękać się należy, powtarzam, bo oni korzystając z waszych zabobonów i ciemnoty, dzielą się z wami waszém mieniem w ten sposób, jak tego macie oczywisty przykład.

Teraz zaś, wy gospodarzu, wraz z synem odprowadźcie owego stracha do Sołtysa, a ja jutro rano jako świadek potwierdzę jego złodziejstwo, aby za to przykładne ukaranie otrzymał.

Bocian.

—

Ze wszystkich wędrownych ptaków, które nas na zimę opuszczają, żaden, wyjąwszy chyba skowronka, nie pozostawia po sobie tyle przyjaznych wspomnień wśród ludu naszego, co bocian; bo też żaden z nich nie czyni mu więcéj od niego przysług w czasie półrocznego swego u nas pobytu. Zaledwo lody topnieć i śniegi w strumieniach wód rozpływać się zaczynają, już z upragnieniem spogląda wieśniak w górę, czy tam nie ujrzy tego białopiórnego zwiastuna wiosny ożywczego ciepła dla zazielenić się mających wkrótce zasiewów. Nareszcie, idąc do kościoła w dzień Sgo Józefa i rozpatrując się po niebie, spostrzega go krążącego w powietrzu; a patrząc długo za górnym jego lotem, i pragnąc w duszy, aby usiadł blisko jego chaty, wita go z radością, gdyż on niszcząc myszy, krety, a nawet i szczury, będzie mu chronił od zniszczenia jego plony, których jako stróż wierny sam nie szkodzi; bo on oczyszczać mu będzie łąki i bagna od wszelkiego gatunku gadów. Wita go z podwójną radością, gdy wspomni, że on będzie stałym i przyjaznym sąsiadem jego zagrody, któréj ciszę umili codziennem swem klekotaniem z wierzchołka drzewa lub stodoły, i da mu niemylne wróżby urodzajów, długiego lata, lub ciężkiéj zimy.

Dwa gatunki bocianów u nas przebywają: *Bocian biały* i *czarny*. Pierwszy powszechnie u nas znany i pospolity, jestto ptak wielki, biały, z lotkami skrzydeł czarnemi, z dziobem wielkim czerwonym, opatrzonym w szczęki szerokie i lekkie, któremi to uderzając jednę o drugą, wydaje ów klask szczególny, klekotaniem zwany. Nogi jego, tegoż jak dziób koloru, ruchy powolne, kroki wielkie i wymierzone, lot silny i wytrwały, w czasie lotu głowa naprzód prosto wyciągniona, a nogi wtył skierowane. Żyje parami, i należy do rodzaju mięsożernych ptaków. Pożywieniem jego są, jak się o tem wyżéj wspomniało: myszy, szczury, krety, żaby i gady.

Przylatuje do nas na wiosnę, zazwyczaj w miesiącu marcu, a lud oczekuje go najczęściéj w dzień Śgo Józefa. Przybycie jego wróży mu rychłe ciepło, a z lotu jego wnosi o rodzaju lata. Zdarza się jednak, że bociany dopiero w początkach miesiąca kwietnia do nas przylatują; natura bowiem obdarzyła ich, jak wszystkie inne przelotne ptaki, instynktem, według którego przeczuwają porę, w któréj pożywienia dla siebie wyszukać są w stanie. Przesądni łudząc się wróżbami, utrzymują, że kto pierwszy raz na wiosnę ujrzy bociana w locie, ten się długiém cieszyć może zdrowiem; i przeciwnie, kto go pierwszy raz stojącego na ziemi lub siedzącego spostrzeże, ten ma się spodziewać rychłéj choroby.

Bocian wracając do nas, przybywa zawsze tak jak jaskółki, do tych samych miejsc, i co rok gniazdo swoje naprawia. Lud wiejski sądzi dotąd, że gniazdo bociana przynosi domowi szczęście, chroni go od pożarów, piorunów, gradobicia, i dlatego zaciąga na domy lub wyniosłe drzewa w bliskości swoich mieszkań, koła wozowe lub brony, dla zachęcenia bocianów, aby tam zakładały swe gniazda.

Wszystkie ludy od najdawniejszych czasów oszczędzają i szanują te użyteczne ptaki. Mówimy użyteczne dlatego, bo choć niektórzy mają je za szkodliwe, iż tępią młode zające, młode kuropatwy, drób mały i tym podobne, to jednak ich usługi muszą przeważać, gdy je na całym prawie świecie od najdawniejszych czasów oszczędzają i szanują wszystkie ludy. Bezużyteczność ich mogliby tylko zarzucić chyba myśliwi cenią cy wielce zwierzynę, i to tylko jeszcze tacy, którzy własne zadowolenie przekładają nad użytek ogólny.

Wracając do ich użyteczności, wspomnimy, że zabicie bociana uważano w starożytnych nawet czasach za zbrodnię; w Tessa-

lii, prowincji dawnéj Grecyi, zabójcę jego śmiercią karano. Utrzymują także niektórzy, że bocianowi na równi z ptakiem Ibisem, pogańscy Egipcyanie cześć religijną oddawali; zapewne instynktowe przymioty tych ptaków, to jest przeczucie ich co do jakości pór roku, lub też ich użyteczność, przyczyniły się do téj czci, która się dotąd na Wschodzie między bałwochwalcami zachowała. Teraz nawet w Holandii prawo zakazuje zabijać bociana, bo liczne bagna w tym kraju wymagają oszczędzenia tego niszczyciela gadów; a i u nas do dziś dnia lud wiejski za grzechby sobie poczytał pozbawienie życia tego przyjaciela swych wiejskich ognisk.

Przywiązanie bociana do swoich dzieci jest niezwykłe. Dzieje wspominają o bocianie w Deltt w Hollandyi, który w czasie pożaru tego miasta, ratując swoje dzieci, a nie mogąc ich ocalić, wolał wraz z niemi stać się pastwą płomieni, niżeli je opuścić. Ztąd też ludowi znającemu tę rodzicielską miłość bociana ku swym dzieciom, trudno jest pogodzić ją z często widzianém zdarzeniem, gdy bocian z gniazda umyślnie zrzuca jaje lub młode pisklę lecz przypisują to naturalnéj potrzebie. Według bowiem mniemania wieśniaków, bocian przeczuwając rok suchy, w którym nie spodziewa się dostatecznego wyżywienia dla wszystkich swoich dzieci dla braku wody i bagien, woli się zawczasu pozbyć z nich jednego; ztąd też po wsiach uważają podobne zdarzenie za przepowiednię nieurodzajów. Inni znowu twierdzą, że bocian wtedy wyrzuca jaje lub pisklę z gniazda, gdy te są nie do pary, a to jakoby z troskliwości, żeby jedno z dzieci pojedynczo nie żyło, gdyż ptaki te żyją tylko parami. Jednakowoż przeciwko twierdzeniu temu możnaby stawić ten wniosek, że natura obmyśliwszy dla ptaków pożywienie, i temu złemu zaradziłaby mogła; albowiem gdy i na wielu innych gniazdach nieparzysta liczba płodu zdarzać się zwykła, tedy z tych nieparzystych pochodzących z różnych gniazd młodych bocianów łatwoby się pary dobrać mogły. Sądzićby prędzéj można, że bociany z gniazd zrzucają tylko jaja nadpsute, albo też czasami i żywe jeszcze, gdy przewidują, że z pisklęcia niedołężny potomek wyrośnie.

Bocian składa jaj cztery, rzadko pięć; są one białości jaj gęsich, lecz nieco od nich mniejsze. Za dowód zmyślności tego ptaka, a zarazem i niemałéj dbałości o nieskażenie swojego rodu, posłużyć może następujące zdarzenie, którego wraz z wielu innemi byłem naocznym świadkiem.

W jednéj wiosce pastuchy ze swawoli, podczas oddalenia się bocianów z gniazda, zdjęli jedno jaje, i w to miejsce podłożyli gęsie. Oczekiwaliśmy z ciekawością następstw tego figla, gdy po upływie pewnego czasu, dostatecznego do wyklucia się piskląt, ujrzeliśmy z rana stado kilkudziesięciu bocianów, ustawicznie klekocących i krążących około gniazda. Ciekawość nasza wzmogła się tem bardziéj, gdy po kilku bocianów z kolei wlatując na gniazdo wśród szumu i ciągłego klekotania dziobało i biło skrzydłami z niemałą zawziętością jednego z bocianów, siedzących na gnieździe, zapewne samicę. Po półgodzinném prawie klekotaniu i wymierzaniu w ten sposób kary za niedbałość macierzyńską, zrzuciły z gniazda na śmierć zadziobane pisklę, które właśnie było gąsiątkiem wyklutem z podłożonego jaja; poczem gromada bocianów rozleciała się w różne strony.

Podobne zdarzenia miały się nieraz powtarzać i w innych miejscach, z tą różnicą, że często z obcem pisklęciem i zabita matka spadała z gniazda.

Przeloty bocianie do południowych krajów, czyli jak lud mówi, do *cieplic*, są znane od najdawniejszych czasów. Najgłówniejszą przyczyną ich wędrówek jest brak pożywienia, bo zdaje się, że na zimno nie są zbyt czułemi, gdyż zdarza się nieraz je widzieć u nas w marcu, gdy jeszcze śniegi ziemię pokrywają. Długo jednak nie wiedziano, dokąd odlatywały, i czy w te same miejsca wracały. Późniejsze spostrzeżenia okazały, że bociany od nas przy końcu sierpnia przenoszą się do Indyi, a w największéj części do Afryki, mianowicie do Egiptu.

Istnieje podanie, jakoby ktoś u nas w dawniejszych czasach dla dowiedzenia się, dokąd na zimę odlatują bociany, i czy do tych samych miejsc wracają, przywiązał jednemu z nich na szyi tabliczkę z napisem łacińskim:

„Haec ciconia
„Ex Polonia.“

(Co znaczy: *Ten bocian jest z Polski*); a na drugi rok miano widzieć w tém samém miejscu na szyi bociana inną tabliczkę, z napisem również łacińskim, jakoby w odpowiedzi:

„India cum donis.“
„Mittit ciconiam Polonis.“

(*Indye z darami posyłają bociana polakom*);

na szyi bowiem jego wisiały perły i drogie kamienie.

Bociany przed samym odlotem zbierają się w bardzo liczne gromady; w nieustannym są wtenczas ruchu, i wszystkie ciągle klekocą. Śmiałość ich wtedy jest niezwykła, bo widywano ich wcale tém nieprzestraszonych, gdy wśród nich ktoś złudzi umyślnie się przechodził. Lud nasz takie zebranie *Sejmikiem bocianim* nazywa. Zdaje się istotnie, że się te ptaki wzajemnie znają i naradzają wspólnie nad przyszłą swą podróżą; poczem wkrótce znowu się zrywają, i pochwili z oczu nikną. Zdarza się, że po tym odlocie bocianów, jeden lub dwa zabite pozostają; mówią, że to są słabe i do lotu niesposobne — ale prędzéj to zapewne się dzieje w skutek wymierzenia kary na winnych przez te zmyślne ptaki.

Kończąc opowiadanie o tym ptaku ulubieńcu ludu naszego, wspomnimy nieco o drugim gatunku bocianów, tak nazwanym: *Bocian Czarny*, który jest nieco mniejszy od białego, i który rzadko się trafia w królestwie, lecz częściéj na Polesiu litewskiem, w Białowieskiej puszczy na Litwie i w Karpatach. Gnieździ się w lasach i jest pospolitym, tak jak u nas biały, w górach Alpach Szwajcarskich.

Czerwoną skórą z nóg jego mają kozacy obciągać pochwy nożów, pałaszy i t. p. Zowią go zaś czarnym jedynie dla odróżnienia od białego, bo jak na jednym kolor biały, tak na drugim czarny nie jest wyłącznym.

Sierota.

—

Wielkie są obowiązki dzieci dla rodziców, ale daleko jeszcze większe rodziców dla dzieci.

Pamiętajcie ojcowie i matki, że to nie dość dać życie dziecku; trzeba je jeszcze strzedz od złego i dobrym przykładem prowadzić do zamiłowania cnoty. Wcześnie naginajcie te młode roślinki, bo gdy wzrosną ze złem, wy rodzice będziecie odpowiedzialni przed Bogiem za występki waszych dzieci. Dobre wychowywanie dzieci nie na tem zależy, iżby bić je niesprawiedliwie, a złemu potakiwać. Jednak, jak to się często zdarza, nie jeden ojciec, lub nie jedna matka, gdy ich spotka jaka przykrość, uciśnie nędza, mszczą się na dzieciach i biją za lada bagatelę, a w dobrym humorze pobłażają najgorszym postępkom. I takie ofiary rzucone potem w świat na pastwę nędzy i występków, pokutują srodze z przyczyny rodziców. A są jeszcze i inne przykłady, że dzieci odepchnięte zpod strzechy rodzinnej, błąkają się pomiędzy obcemi, i najlepsze skłonności zacierają się wśród ucisku nędzy i złych przykładów.

Opowiem wam czytelnicy! zdarzenie prawdziwe, które powinno być nauką dla jednych i drugich.

Kostuś Bratkowski w drugim roku życia stracił matkę. Ojciec jego nie będąc zamożnym, starał się usunąć dziecię z domu, tłumacząc się niemożnością wychowywania bez opieki kobiecéj; ale tam był brak dobrych chęci, serca i uczuć ojcowskich. Odwiózł więc Kostusia do swojéj matki, mieszkającéj na wsi niedaleko Radomia.

Dobra babka przyjęła chętnie wnuka, ale z przybyciem jego powiększyły się jéj kłopoty; bo już była za drugim mężem, który nie lubił chłopczyka i niechętnie go widział w swoim domu. Jednak babka wynagradzała te przykrości swojem sercem, i za jej staraniem nauczył się Kostuś czytać, nieźle pisać, rachować, a szczególniéj poznał początkowe zasady naszej świętej wiary. Gdy skończył lat 9, chciała babka oddać go do szkół do Radomia, ale przybrany dziadek gniewał się na samą wzmiankę dalszych kosztów, i nastawał na to, żeby odwieść Kostusia do Warszawy do ojca.

Biedna kobieta nie mogła oprzeć się woli męża, i z wielkim żalem postanowiła zadość uczynić jego żądaniu.

Po krótkiem przygotowaniu się do podróży, zatętniła bryka przed skromnym dworkiem, i wsiadła w nią babka z wnukiem, a konie ruszyły po trakcie Radomskim. Smutna to była podróż; często płakał chłopczyna, czy to na wspomnienie ojca, którego nie pamiętał a w sercu pragnął, czy też z żalu po babce jedynej swej opiekunce.

Było już późno, gdy przybyli do Warszawy i stanęli u swoich krewnych, mieszkających przy ulicy Niecałéj. Po zwykłém przywitaniu i krótkiéj pogawędce, dla spóźnionej pory udali się wszyscy na spoczynek.

Nadedniem zbudził Kostusia krzyk służących i jęki chorych: — „Mięty gorącej! wołano, trzyjcie prędzéj spirytusem, bo już kurcze porywają. Doktorzy jedni wchodzili, drudzy wychodzili, a o Kostusiu zupełnie zapomniano. Nagle zbudzony krzykiem nie mógł chłopczyna

pomiarkować, co się to znaczy?—zaczął wołać babki, ale sługa odezwała się:

„Cicho malcze! twoja babka umiera!“—„Umiera, krzyknął chłopczyk, i wbiegł do pokoju, w którym ona leżała.— „Babciu, moja babciu! co ci jest?—mów do mnie“—I upadł na kolana, wzywając pomocy Boskiéj; ale już było zapóźno, bo w téj chwili złapały nieszczęsną okropne kurcze, i Bogu ducha oddała. Nie mógł Kostuś zrozumieć tak nagléj śmierci, upadł więc na zwłoki swojej opiekunki i wołaniem i łzami chciał przywołać ducha, który już stanął przed Bogiem.

W drugim pokoju kończył życie krewny Kostusia, a jego żonę w największym żalu i rozpaczy zaledwie zdołano oderwać od konającego, i zaprowadzić do przyjaciół.

Na drugi dzień dwa karawany wywoziły ciała zmarłych w jednem mieszkaniu, a wielu jeszcze chorych w tym domu kończyło życie wśród cierpień najokropniejszych.

Znaną jest ta pora w Warszawie, w której pojawiła się cholera przy ulicy Niecałéj. Nie jedna rodzina została pogrążoną w żalu, a Kostuś chociaż miał ojca, jednak był jakby sierotą, i ciężkie czekały go próby życia. Lecz w cierpieniach człowiek zyskuje, bo mniej lgnie do świata, a więcej do Boga.

Po kilku dniach przy ulicy Niecałéj nastąpiła grobowa cisza; jedni wymarli, drudzy wyprowadzili się, a ci co pozostali przy życiu i w mieszkaniach swoich, przerażeni tak nagłem nieszczęściem, w cichości i pokorze modlili się, prosząc Boga o oddalenie cholery. Wpośród tych nieszczęść i Kostuś zachorował na gorączkę, i tylko służąca, która została w mieszkaniu, nie mogąc sama dać pomocy i dozoru, odprowadziła chorego do szpitala Dzieciątka Jezus. Walczył biedny chłopczyna kilka tygodni między życiem i śmiercią; siła wieku przemogła, i zaczął przychodzić do siebie — lecz ze zdrowiem wracały cierpienia i smutek po stracie babki. Sierota nie miał przed kim się użalić, zamknął całą boleść w sobie, i nie powiedział u Dzieciątka Jezus, że on niema schronienia, bo o ojca mieszkaniu wcale nie wiedział. Wypisano go ze szpitala — wyszedł po zwyczajnem śniadaniu, nie pomyśliwszy dokąd się uda, i gdzie znajdzie schronienie. Chodził w lichej sukience aż do wieczora, w końcu głód tak mu dokuczył, że się ośmielił prosić przekupki siedzącéj z ciastkami o jaki bądź posiłek.— „Pani“—odezwał się, nie mam ani grosza, a jestem głodny! ale przekupka przerwała z krzykiem.— „Precz mi stąd próżniaku! idź szukać miejsca u rzemieślnika, a nie żebraj po ulicach.“— Te słowa *żebraj* uderzyły go niespodzianie, chciał się tłumaczyć, ale tem wprowadził w gniew przekupkę, i już odchodził zalany łzami, gdy go jakiś pan zatrzymał i dał mu pięć groszy. Kostuś zgłodniały przyjął pierwszy raz jałmużnę, i taki był początek żebraniny. Nadeszła noc, nikt się nie zatroszczył o biednego chłopca, gdzie on głowę położy; w obcem nieznanem mieście, bez przyjaciół i rodziny czegoż mógł się spodziewać? Późno już było w noc, gdy strudzony chodzeniem, odurzony wrzawą ruchu całodziennego, usiadł w kąciku pomiędzy domami i usnął.

Na drugi dzień skoro się obudził, przypomniał sobie słowa przekupki, i zaczął szukać miejsca u rzemieślników. Wszedł najpierw do stolarza, i opowiedział swoje przygody.

„Albo to prawda, co ty mówisz, odezwał się stolarz; któż cię tu zna i zaręczyć może?“

Spojrzał potem na jego ręce delikatne i całą budowę i dodał.“ Ciężkie to czasy, chleb drogi, a ty moje dziecię nie masz siły do pracy; nie mogę cię darmo karmić, idź sobie z Bogiem szukać innego miejsca.

Probował Kostuś i u innych rzemieślników, lecz wszędzie jednakowo przyjęty, zaledwie znalazł dom, gdzie mu pozwolono przychodzić w czasie obiadowym do usług kucharza, a za to dostawał resztki z obiadu lub kolacyi, inne zaś potrzeby zaspokajał użebranym groszem. Najczęściéj stając w bramie Rezlera, opowiadał nie jednemu o swojéj niedoli; ale ludzie oswojeni z podobnemi mowami, obojętnie słuchali i patrzyli na łzy, nie wierząc w nie wcale. Jednak w tak smutnem położeniu nie zapomniał Kostuś babki, która mu zalecała pobożność i pracę. Szanując jéj pamięć, ciągle był czynny; nie mogąc inaczéj, pisywał kredą po klocach na podwórzach, a czytywał na kartkach od książek wyrzuconych na śmiecisku. I tak upływało jednostajnie życie biednego chłopca; nie raz o suchym kawałku chleba przebył dzień cały, a zwykłe noclegi miewał u śmieciarek przy ulicy Browarnéj, gdzie na garstce słomy lub gałganów sypiał, ukrywając się przed policyą. Zapomniał chłopczyk o miękko usłanem łóżeczku i o wszystkich pieszczotach, otaczających wiek dziecinny. Sam sobie wystarczał w usłudze; letnią porą uprał nie-

raz koszulę w Wiśle, pozszywał swoje nędzne ubranie, i zawsze pamiętał o porządku i czystości.

Jednego dnia wszedł Kostuś po żebraninie do pewnego domu, i opowiedział swoje wypadki. Trafił szczęśliwie, bo znalazł państwa bardzo litościwych, którzy uwierzyli jego słowom, przyodzieli wpół nagie ciało, a wziąwszy go do swego domu, zajęli nauką wraz ze swemi dziećmi; a nawet obmyślali na przyszłość sposób do życia. Po kilku szczęśliwych miesiącach dowiedzieli się państwo, że ojciec Kostusia ma dorożkę własną i pewny sposób do życia. Nie chcąc rozrywać węzłów rodzinnych i uczuć wlanych w serca przez samego Boga, dążyli oni do połączenia syna z ojcem, i w tym celu wysłali Kostusia ze sługą do jego mieszkania. Smutno wspomnieć i wymówić, jak ojciec powitał własnego syna. W krótkości tylko nadmienię o tej scenie rozdzierającej serce. Gdy sługa wprowadziła chłopczyka porządnie ubranego do stancyi i powiedziała, że to jest syn Bratkowskiego, zdziwił się ojciec, że jego syn żyje, bo już go miał za umarłego, a potem podziwiał ubior porządny i wymawiał, że syn jego wyszedł już na panicza. Dosyć powiedzieć, nie otworzyło się serce ojca na przyjęcie syna; niedługo widziano Kostusia chodzącego po żebraninie.

Jaka będzie przyszłość syna i ojca, i jaki rachunek przed Bogiem?—powinniby oba rozważyć i pojednać się serdecznie.

Różności Tygodniowe.

Spisywane przez majstra mularskiego, Jana Rychlaka.

(Niedziela pierwsza).

—

Mularz, to jak żołnierz; trzeba, aby przynosił chwałę pułkowi, co *kielnię* ma za broń. Budowniczy jest ich generałem, obmyślą plan batalii; do mularzy należy wygrać ją, wyrabiając żwawo kielnią i wapnem, jak *wiarusy* szablą i prochem dokazują. Majster Marlak, rodem zpod Kalisza, tak dobrze a szybko murował, iż go przezwano *czterorękim*, bo zawsze za dwóch najlepszych czeladników robił; a że od łokcia płacili mu, więc i za dwóch zarabiał. Tęgiego wzrostu, w spencerze z szarego płótna, z fartuchem skórzanym aż czerwonym od cegły, okrągłej furażerce, ślicznie wyglądał przy robocie. Trzech chłopaków nie mogło nadążyć znosić mu materyały; on dziarsko stał na rusztowaniu, świstał, śpiewał, albo wołał: piasku, wody, cegły! a robota szła mu ogniście, że aż się tylko w oczach migało patrzącym na niego, a mnóstwo ludzi zatrzymywało się przechodząc koło jego rusztowania, gdy pracował przy murowaniu pałacu Mostowskich. Przypatrywano się Marlaka robocie, jakby cudownemu obrazowi, ale żadnemu mularzowi ani postało w myśli, żeby z nim mógł iść na wyścigi. Aż tu raz, przychodzi niepoczesny człowieczek, mały, w orzechowéj kurtce z dziurami na łokciach; popatrzył na robotę Marlaka, i zażądał ubiegać się o pierwszeństwo z tym królem cechu mularskiego.

Zadziwiło to wszystkich, ale umieszczono dwóch zapaśników na dwóch rogach rusztowania, i za danym znakiem walka się rozpoczęła. Mur rosł w oczach pod palcami Marlaka, ale kubek w kubek tak samo i u Nowaka, tak się bowiem nazywał ten mularz z Grójca przybyły. Nazajutrz dalsza próba; ściana z jednéj jak z drugiéj strony rośnie jak pod miarę, nawet na cegiełkę nie wyższa u jednego jak i u drugiego. Następnych dni zdaje się że *czterorękiemu* chyba jeszcze cztery ręce przybyły, tak mo się pali robota pod jego kielnią; ale akurat to samo i u Nowaka. Nakoniec doszli razem, ani o minutę prędzéj ani późniéj jeden od drugiego, aż pod sam gzyms; tu już musieli się zatrzymać,—poznali, że wart *Pac pałaca* i *pałac Paca.* Podali sobie ręce, uściskali się serdecznie i wieczną przyjaźń zaprzysięgli.

Przewybornie postąpili, bo koledzy nigdy nie powinni sobie zazdrościć, ani broń Boże szkodzić. Obecni tej zgodzie, głośno przyklasnęli i zawołali: *niech żyje Marlak!— niech żyje Nowak.* Wkrótce potém Marlak dał Nowakowi swoję córkę za żonę, a dziś każdy z nich ma trzypiętrową kamienicę.

Zdania.

Każdy z palców naszych jest bardzo małą rzeczą, lecz razem połączone stanowią rękę, a ręką wznoszą się budynki najwyższe.

Kiedyś zdrów, a wyciągasz rękę po jałmużnę, to przecież nie zabraknie ci jéj do pracy leniuchu!

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 20 lutego (4 marca) 1857 r. — Starszy cenzor. *F. Sobieszczański.*